Komputerowa przyszłość



Joanna Sokołowska-Gwizdka

„The Future is here” – to hasło przewodnie naukowców, których

zadaniem jest rozważenie kierunków w rozwoju komputeryzacji.

Komputery coraz bardziej ekspansywnie wchodzą w naszą codzienność. Masowo posługujemy się już internetem. Statystyki wykazują jak wielu przybywa corocznie internautów. Sieć i niezastąpiona maszyna stają się nieodłącznym elementem naszego życia. Szybkość w przekazywaniu informacji w ogromnym stopniu zwiększyła tempo rozwoju niemal wszystkich dostępnych nam dziedzin. Musimy jednak pamiętać o tym, żeby w szalonym wyścigu po coraz to nowsze technologie nie zapomnieć o samym człowieku, o jego wygodzie i komforcie.

Po raz pierwszy czynnikiem ludzkim w informatyce zajęto się podczas konferencji w Gaithersburgu (USA) w 1982 roku. Wtedy pojawiły się pierwsze komputery osobiste, a o kierunku rozwoju nauki zaczęły decydować coraz liczniejsze grupy HCI *(Human Computer Interaction)*, zajmujące się połączeniem badań dwóch dziedzin, technicznej i humanistyczno-psychologicznej. Grupy te określają w jaki sposób coraz to nowsze technologie komputerowe mogą być łatwiejsze w praktycznym zastosowaniu przez człowieka. Przeprowadza się w tym celu szczegółowe badania psychologiczne, socjologiczne, etnograficzne, aby precyzyjnie określić potrzeby konkretnych grup ludzi, ich priorytety zawodowe, codzienne potrzeby oraz możliwości. Ustala się potem strukturę komunikacji między człowiekiem a maszyną, co służy do odpowiedniego projektowania interfejsów

użytkownika.

Na konferencjach naukowych przedstawia się wciąż nowe projekty zastosowania komputerów w codziennym życiu. Podstawowymi funkcjami maszyny jest w tej chwili komunikacja oraz informowanie użytkownika, odpowiednie do sytuacji, w której w danej chwili się znajduje. Miniaturowe komputery pozbawione tradycyjnej obudowy, umieszczane w przedmiotach codziennego użytku, informują np. podczas jazdy samochodem o pogodzie, w domu o kończących się zapasach w lodówce, a w muzeum przedstawiają wycinek historii sztuki.

Przyszłość rozwoju komputeryzacji idzie w kierunku przyspieszenia komunikacji międzyludzkiej oraz ułatwienia codziennego życia poprzez szeroko pojęte informowanie. Widoczna tendencja do miniaturyzacji systemów komputerowych i umieszczania ich w przedmiotach codziennego użytku, w zegarkach, notesach, a nawet w zabawkach dla dzieci, przybliży świat wirtualny, dzięki czemu życie ma stać się łatwiejsze i wygodniejsze.

Komunikację zrewolucjonizowały też powszechnie używane *smartphony*, którymi posługuje się niemal każdy. Dzięki nim można na bieżąco mieć dostęp do potrzebnych informacji np. o pogodzie, czy dojeździe do określonego celu.

Łatwy i szybki dostęp do informacji niesie też za sobą różne zagrożenia. Urządzenia bez przerwy nas monitorują, określają nasze położenie, potrafią rozpoznać czy idziemy, biegniemy lub jedziemy. Zbierają dane o naszych preferencjach i upodobaniach. Te informacje mogą służyć do śledzenia nas w każdym momencie życia, do zarzucania nas reklamami i ofertami. Taka jest cena za udogodnienia związane z komunikacją i informacją.

Odkrywanie biologicznych zagadek. Teresa Sokołowska-Rylska.



Teresa (Renia) Sokołowska-Rylska i Karol Wojtyłła na KUL-u podczas egzaminu, fot. arch. Floriana i Zofii Śmiejów.

Florian Śmieja

Nie rozstrzygnę już tego pokrewieństwa: moja żona twierdzi, że Teresa Ścibor-Rylska (1912-1985) była jej kuzynką, ale ona sama utrzymywała, że była ciotką.

Teresa Sokołowska-Rylska owdowiała w pierwszych dniach Września, a żołnierski grób męża odwiedzaliśmy z nią kilka razy na zacisznym cmentarzu w Laskach. Teraz ona sama spoczywa obok niego.

W czasie okupacji w Warszawie pracowała jako pielęgniarka, była

kierowniczką laboratorium w fabryce namiastki herbaty. Pod pseudonimem Trembicka wzięła udział w licznych akcjach sabotażowych i szkoliła dziewczęta do pracy pielęgniarskiej i nauczycielskiej.

Po wojnie doktoryzowała się, by ostatecznie zostać kierownikiem katedry botaniki i zakładu biologii na KUL-u w Lublinie.

Została odznaczona Medalem Wojska oraz Złotym Krzyżem Zasługi.

Do przejścia na emeryturę wykładała biologię na KUL-u kolegując z zacnymi kompanami. Pisała o tajemnicach organizacji żywej komórki i o teoriach Teilharda de Chardina. Mnie podarowała na emigrację pomocny bardzo „Słownik ortograficzny języka polskiego", a starszemu synowi swoją książkę "Porządek i organizacja w przyrodzie" z życzeniami "aby wybrał takie ścieżki biologiczne, na których może spotkać rozwiązanie wielu zagadek, odkrycia tajemnic życia".

Kiedy przed śmiercią wybrała się do Rzymu, by odwiedzić dawnego Kolegę, zastanawialiśmy się o czym była rozmowa, bo gorącym tematem w Watykanie stały się komórki.

Komputeryzacja



Florian Śmieja

> **ODA DO ŻYCIA**
>
> Już od rana chciałbym zaliczyć sukces
>
> lecz komputer poskąpił dobrych wieści

muszę polegać na sobie w tym względzie

jak często się zaklinam i bezzwłocznie

wymyślić zadanie do wykonania,

stać się samemu sterem i żeglarzem

i pomyśleć, że to nie tylko oda

do młodości lecz do życia całego.

CZEKAM NA WNUKI

Moje pociechy pędzą swoje życie.

Nie mają czasu ani cierpliwości

by mi niekiedy pomóc z komputerem.

Zachciało mi się jeszcze technologii

i nie nadążam już za nowościami

nie rozumiem języka, aplikacje

manipulują bezkarnie, bo w ciemno

i najczęściej klikam na chybił trafił

z przewagą na chybił. Chociaż rozumiem

że w dzisiejszych czasach bez komputera

nie można się obejść, to z awariami

mam więcej do czynienia niż z ich pracą.

Oflagują się, aby nic nie robić

i bądź tu mądry jeśliś nie fachowiec

albo amator oprogramowania.

Skoro nie chcę rozzłościć moich pociech

to ograniczam się do prostych ruchów

płacę frycowe za brak kompetencji

czekam na wnuki, bo będą łaskawsze

i bardziej za pan brat z elektroniką.

PO PRZERWIE

Po kilku jałowych dniach dość nieśmiało

podchodzę do komputera niepewny

czy już się znarowił nieodwracalnie

a jego *„non serviam”* jest ostateczne

i nie ma już od niego odwołania

czy odpocząwszy wznowi swe czynności

przywoła słowa, wezwie inspiracje

i spróbuje nadrobić utracone?

ZUPA Z GWOŹDZIA

Wstałem o świcie, aby się uraczyć

racją świadomego milczenia zanim

rozpoznam dzień i jego możliwości

bo nawet brak poczty na monitorze

nie musi oznaczać zrezygnowania

z ambitnych planów albo zaniechania

zaczętej akcji. Jestem doświadczonym

kucharzem, zrobię zupę na gwoździu.

UTRWALACZ

Pilnie szukam takiego instagramu,

który by zanotował, co uroi

głowa, bo tyle mi gdzieś przepada

między zamysłem a tym, co potem

widzę na stronie. Utrwalacz konieczny

bo bez niego zbyt wiele już straciłem.

ROBOT

Moje wiersze powstają jak na taśmie

i wykazują wszelkie niedoróbki

masowej produkcji czy procederu

zautomatyzowanej wytwórczości.

Myślę teraz jak zastąpić autora

gestią inteligentnego robota.

dysponującego wyszukiwarką

totalną, zdolnego w okamgnieniu

przewertować słowniki i wychwycić

właściwe słowa i z anonimatu

bezkształtnych odmętów wyczarować

karne hufce i zgodne chóry sfer

a z mroków nocy wydobyć na światłość

wyjątkową, niepokalaną perłę.

FAJKA POKOJU

Rozsierdzone niebo zabieliło się

od błyskawic próbujących się na nim

pojawić i najwidoczniej potargać

sieć internetowych powiązań ludzi

szukających zbliżenia i wymiany

> myśli i budowniczych wieży Babel
>
> która się wreszcie ziściła i łączy
>
> zwaśnione przedtem obozy, przynajmniej
>
> próbuje, bo bez kontaktu nie będzie
>
> zgody. Internet to fajka pokoju
>
> do tego obywa się bez tytoniu.

Jubileuszowa XXV edycja festiwalu „Maj

nad Wilią”

Teresa Markiewicz

Przy pomniku Adama Mickiewicza w Wilnie nad Wilenką w poniedziałek, 28 maja 2018 r., została tradycyjnie zainaugurowana XXV edycja festiwalu „Maj nad Wilią”. Od „Przywitania z Adamem” oraz tradycyjnego pozowania do wspólnego zdjęcia poetów przybyłych z dziewięciu krajów, w tym Anglii, Czech, USA, Belgii, Polski i in., a także wileńskich twórców, rozpoczęła się uczta słowa literackiego.



Inauguracja „Maja nad Wilią" pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Wilnie, fot. Teresa Markiewicz.

Odsłonę festiwalu, który od ćwierćwiecza sprzyja promowaniu polskiej kultury na Litwie, zarazem promując twórczość wileńskich autorów, zaszczyciła swą obecnością **Urszula Doroszewska**, ambasador RP w Wilnie. Udział wzięli także przedstawiciele Wydziału Konsularnego RP, Instytutu Polskiego w Wilnie oraz wielu innych placówek i instytucji wileńskich oraz zagranicznych, które przyczyniły się do zrealizowania festiwalu, odbywającego się tradycyjnie każdego roku w mieście nad Wilią.

Pani Ambasador w krótkiej przedmowie zaznaczyła, że fakt, iż festiwal przetrwał ćwierćwiecze działalności, jest żywy i istotny, tworzy jedno środowisko Polaków z Korony i Polaków z Litwy,

jest zjawiskiem nadzwyczajnym. Doroszewska podkreśliła także, jak ważne jest budowanie mostów poprzez przekład literacki oraz ciepło pozdrowiła zebranych „w miejscu szczególnym i tradycyjnym” – jak to określił inicjator oraz niestrudzony organizator rokrocznej imprezy – poeta i dziennikarz – **Romuald Mieczkowski**.

Organizator imprezy także dodał, że „od pierwszego festiwalu poczynając organizatorzy czynią starania, by twórczość dawnych wilnian oraz twórców związanych z Wilnem nie zanikała. Ten duch, który panuje podczas spotkań literackich jest dla Wilna bardzo potrzebny…”.

Na dziedzińcu Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie, fot. Bartosz Frątczak.


ADOMAS MICKEVIČIUS
ADAM MICKIEWICZ


ADOMAS MICKEVIČIUS
ADAM MICKIEWICZ



Na dziedzińcu Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie przy ul. Bernardyńskiej nr 8, po inauguracji, przy ścianach domu-muzeum odbyła się prezentacja twórczości obecnych tu autorów pt. „Przedpołudnie jednego wiersza”. Wśród festiwalowych gości swoją twórczość przedstawili poeci zagraniczni: **Renata Putzlacher, Ryszard Grajek, Helena Skonieczka, Janusz Taranienko, Dorota Gorczyńska-Bacik, Zbigniew Zales, Barbara Gruszka, Janusz Wójcik, Mirosława Wojszwiłło, Tomasz Snarski, Bernadeta Kalec, Stanisław Zawodnik, Teresa Barbara Banasik, Paweł Krupka, Leokadia Komaiszko.**

Wileńskich autorów reprezentowali: **Wojciech Piotrowicz, Alina Lassota, Aleksander Sokołowski, Józef Szostakowski, Romuald Ławrynowicz, Romuald Mieczkowski** oraz niżej podpisana.

Tegoroczny, jubileuszowy „Maj nad Wilią" ma charakter interdyscyplinarny, dlatego obfituje w różnorodne interesujące inicjatywy społeczno-kulturalne. W ramach festiwalu została otwarta bardzo interesująca wystawa fotograficzna **Jana Skłodowskiego** – „Litewskim szlakiem Narutowiczów", m. in. z udziałem autora. Potem odbyła się konferencja „Niepodległość niejedno ma imię – 100 lat odrodzenia państwowości Litwy i Polski. Polacy w niepodległości litewskiej" – m. in. St. **Narutowicz, Michał Romer. Tadeusz Iwanowski (Tadas Ivanauskas)**, odrodzenie naszych państwowości w literaturze i sztuce. Z udziałem **Tomasza Kuby Kozłowskiego** (Dom Spotkań z Historią), dyskusje poprowadzili redaktorzy naczelni: Tomasz Otocki – portal „Przegląd Bałtycki", Andrius Konickis – „Naujoji Romuva" i Romuald Mieczkowski – kwartalnik „Znad Wilii".



Tablica poświęcona Gabrielowi Narutowiczowi, fot. Bartoz Frątczak.

Obyła się także dyskusja na temat integracyjnej roli literatury, punkt widzenia młodych twórców, podsumowanie konkursu „Polacy Wielu Kultur”.

W niedzielę, 27 maja, w kościele Wniebowzięcia NMP (kościół Franciszkanów) uczestnicy festiwalu – poeci wileńscy oraz zagraniczni zebrali się, by wspólnie się modlić, a po nabożeństwie – liturgii słowa Bożego, tradycyjnie nastąpiło dzielenie się słowem lirycznym, czyli odbyła się refleksja liryczno-poetycka uczestników festiwalu, zgromadzonych w świątyni wileńskiej, znajdującej się na ul. Trockiej w Starym Mieście.

W niedzielę, w ramach jubileuszowego festiwalu w Domu Kultury Polskiej odbył się recital pt. „Piosenki lat międzywojennych” – koncert polskiej aktorki z wileńskim rodowodem – **Joanny Moro**. Koncert, na którym była obecna Urszula Doroszewska, ambasador RP w Wilnie, był ciepło przyjęty przez zebranych na widowni. Następnie odbyła się prapremiera filmu „Nieobecny”. „Nieobecny” to film dokumentalny o prekursorze polskiej poezji w czasach sowieckiej Litwy – **Sławomirze Worotyńskim** – o tzw. w gronie przyjaciół po piórze – „wileńskim Wojaczku”. Na prapremierze filmu był obecny syn poety – **Marcin Worotyński**, biznesmen, obecnie mieszkający w Amsterdamie, który ze sceny DKP serdecznie podziękował za zachowaną pamięć o jego ojcu-poecie: „Jest to piękny, wzruszający film, jestem głęboko wzruszony…” – powiedział wdzięczny syn wileńskiego poety. Premiera filmu odbyła się z udziałem jazzmana **Jana Maksimowicza** oraz aktualnych realizatorów tego filmu.

W Pałacu Balińskich w Jaszunach można było posłuchać wierszy Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej i Adama Zagajewskiego w wykonaniu Wojciecha Pszoniaka i Birute Mar. Polsko-litewski wieczór poezji urozmaicił występ Jana Maksimowicza.



Pałac Balińskich w Jaszunach.



Birute Mar

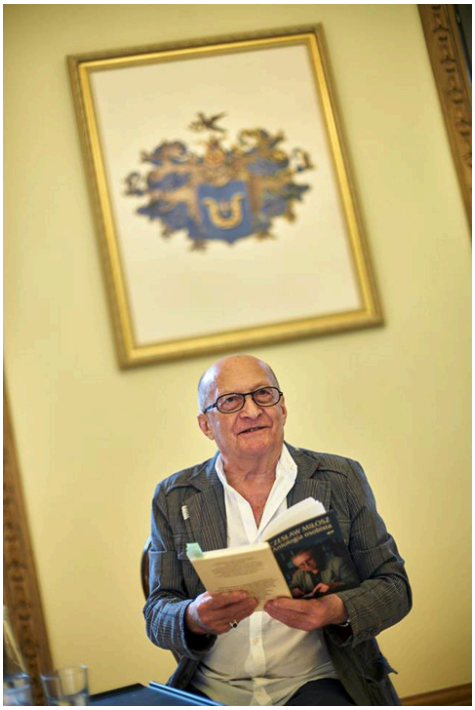

Wojciech Pszoniak



Jan Maksimowicz

Jubileuszowy program festiwalu był wprost nasiąknięty sensacjami. Uczestnicy i goście festiwalowi mieli możliwość

wysłuchać koncertu Stanisława Soyki z towarzyszącym znanemu artyście zespołem. Publiczność z zachwytem oklaskiwała poezję śpiewaną znakomitego polskiego muzyka.

_____

Artykuł pochodzi z portalu L24, dziękujemy za udostępnienie.

http://l24.lt/pl/

Wspomnienie o „Maju nad Wilią”:

http://www.cultureave.com/wspomnienie-o-maju-nad-wilia/

Program:

http://www.cultureave.com/xxv-festiwal-poezji-maj-nad-wilia/

Fotogaleria



Romuald Mieczkowski. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Birutė Jonuškaitė. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Joanna Tabor. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Irena Aleksaitė. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Renata Putzlacher. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Vytas Dekšnys. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Romuald Mieczkowski i Giedrė Šorienė. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Fot. Bartosz Frątczak.



Fot. Bartosz Frątczak.



Fot. Bartosz Frątczak.

Fotografie pochodzą ze strony Festiwalu „Maj nad Wilią”:

https://www.facebook.com/majnadwilia

Spotkanie w Cartagenie de Indias



Gustavo Arango, fot. Tatiana Melo.

Florian Śmieja

Kanadyjska poczta przyniosła mi powieść Kolumbijczyka Gustawa Arango *El origen del mundo* (Pochodzenie świata). Autor jest profesorem języka hiszpańskiego i literatury latynoamerykańskiej na uniwersytecie stanowym Nowego Jorku w Oneonto. Posyłając mi książkę, wpisał do niej:

> Dla Floriana Śmieji, odnalezionego, choć nigdy nie zaginionego...

Choć dedykacja pochodzi z roku 2013, to poznaliśmy się już dawniej, w 1996 roku w cudownym nadmorskim mieście kolumbijskim Cartegena de Indias. Tam odwiedziłem redakcję dziennika „El Universal", w którym za młodu pracował noblista Gabriel Garcia Márquez. Redaktorem tygodniowego dodatku literackiego tej gazety był wówczas młody pisarz Gustaw Arango, którego udało mi się zarazić podziwem dla poezji Herberta i Szymborskiej.

Leży teraz przede mną zachowany jeszcze numer tego dodatku z datą 8 grudnia 1996 r. z artykułem Gustawa zatytułowanym *Uścisk dla Wisławy* (*Un abrazo a Wisława*), ilustrowanym dużą fotografią poetki. W artykule znalazł się opis naszego spotkania. Redaktor Arango przypomniał, jak to mężczyzna w średnim wieku przybyły z Kanady przyszedł do jego biura – i miało się okazać, że nie był to przypadkowy kanadyjski turysta, ale polski

poeta z Kanady, który w czasie spotkania opowiedział mu o Zbigniewie Herbercie oraz spotkanej w Krakowie Wisławie Szymborskiej, świeżo uhonorowanej nagrodą Nobla.

Autor artykułu wspomina, jak dowiadywałem się o losy tego najlepszego dziennika w mieście, a potem wyraziłem swoje uznanie za kultywowanie na jego łamach w tych stronach tak pięknego, choć przecież mało użytecznego zamiłowania do poezji. Przypomina czytelnikom, że jego gość, nauczywszy się hiszpańskiego w Irlandii i Anglii, pracował jako hispanista w Anglii, a potem przeniósł się do Kanady. Wymienia moje przekłady na polski meksykańskiej powieści *Gniew* i andaluzyjskiej elegii o osiołku pt. *Srebroń i ja*. Artykuł swój tak kończy:

> Wiedząc, że te stronice dostaną się do rąk Wisławy, korzystamy z okazji, by przesłać jej całusa i uściski z podziękowaniem za wszystkie okoliczności, które pozwoliły nam raczyć się świeżością cechującą jej słowa.

Jego tekstowi towarzyszyły dwa moje przekłady wierszy Szymborskiej na hiszpański: *Pochwała złego o sobie mniemania* oraz *Portret kobiecy*. Tę stronę kolumbijskiego dodatku wedle przyrzeczenia posłałem do Krakowa.

Okazało się, że ambitnemu pisarzowi Gustawowi Arango udało się później przenieść do Stanów Zjednoczonych, gdzie z czasem stał się uniwersyteckim wykładowcą i nagradzanym powieściopisarzem. Po latach mnie odszukał i przysłał książkę. Nie zapomniał również o Zbigniewie Herbercie, którego parę przekładów mojego pióra także w Cartagenie ogłosił. Utkwiły mu nie tylko w jego pamięci redaktorskiej, ale i twórczej. Bo w przysłanej mi powieści na stronie 103 widzę takie oto echa moich hiszpańskich prób tłumaczeń wierszy Herberta. Oto jak protagonista Aranga w powieści rozważa swoją sytuację:

> Mogłem pozostać w odległej prowincji pod liśćmi sykomorów i pod rządami chorowitych nepotów…

i dalej:

> wypracuję sobie strategię… nie mam zamiaru przysługiwać się… biłem brawo miarowo, uśmiechałem się połowicznie, marszczyłem brwi dyskretnie, nie spodziewając się złotego łańcucha, te z żelaza wystarczą. Opuściłem prowincję, bo tam wszystko było mi obce. Drzewa były jakby bez korzeni, domy bez fundamentów, kwiaty pachniały woskiem, deszcz szklany…Suche obłoki kołatały o puste niebo. Wróciłem przekonany, że będę mógł na nowo nauczyć się twarz, jak się

> zachować. Ułożyłem się z dolną wargą, by umiała powściągać pogardę, zdołałem sprawić, by oczy były puste i zająca twarzy oduczyłem drżenia… Wierzyłem, że jakoś mi się to ułoży. Pomyślałem, że kluczem do sytuacji jest trzymanie się z dala od sztuczek z trucizną.

Przypomnijmy sobie teraz dla porównania fragmenty *Powrotu prokonsula* Herberta:

> mógłbym pozostać tutaj w odległej prowincji
>
> pod pełnymi słodyczy liśćmi sykomoru
>
> i łagodnymi rządami chorowitych nepotów
>
>
>
> gdy wrócę nie mam zamiaru zasługiwać się
>
> będę bił brawo odmierzoną porcją
>
> uśmiechał się na uncje marszczył brwi dyskretnie

> nie dadzą mi za to złotego łańcucha
>
> ten żelazny wystarczy
>
> …wszystko tu nie moje
>
> drzewa są bez korzeni domy bez fundamentów deszcz szklany kwiaty pachną woskiem
>
> o puste niebo kołacze suchy obłok
>
> trzeba będzie na nowo ułożyć się z twarzą
>
> z dolną wargą by umiała powściągnąć pogardę
>
> z oczami aby były idealnie puste
>
> z nieszczęsnym podbródkiem zającem mej twarzy

Porównując oba te teksty, zastanawiałem się, czy mamy u Arango do czynienia z plagiatem, czy też ze świadomym

zapożyczeniem z utworu polskiego poety, z posłużeniem się doświadczeniami bliskiego autorowi człowieka, guru, idola, który także znalazł się w sytuacji emigranta i umiał swoje położenie wyrazić tak doskonale, że je zdominował? W ojczyźnie Arango wiódł życie skromne, ale „pełne”, wartościowe; żywił jednak ambicje, które sprawiły, że zakosztował w obcym kraju, pod innym słońcem i wśród odmiennych ludzi, bogatej kariery. Kiedy wspominał o straconej idylli, żyjąc w dostatku materialnym, może zatęsknił choćby fikcyjnie do swoich stron? I przypomniał sobie wynurzenia poetyckie Herberta?

Zakładam, że Herbertowi byłoby miło jako inspiratorowi wynurzeń człowieka z zupełnie innego kulturowego kręgu.

Powiązany artykuł:

http://www.cultureave.com/klerk-mezny-wspomnienie-o--zbigniewie-herbercie-1924-1999/

Hiszpańscy akademicy i poeci: Dámaso Alonso (1898-1990)



Dámaso Alonso

Florian Śmieja

Na mojej półce stoją przerzedzane stopniowo książki hiszpańskie. Jedną z nich jest tom wierszy “Hijos de la ira” w wydaniu argentyńskiej firmy Austral. Nosi on miłą hiszpańską dedykację wykaligrafowaną atramentem:

> Dla Floriana Śmieji, dzielnego Polaka pod londyńskim niebem z żywą sympatią Dámaso Alonso, Londyn 13 stycznia 1960.

Nagle pamięć podpowiada szczegóły. Pewnego dnia w niepozornym człowieku siedzącym przy pulpicie w okrągłej sali czytelni dawnego *British Museum* rozpoznałem znamienitego akademika i prezydenta Królewskiej Akademii Hiszpańskiej. Byłem pewnie na jego odczycie kilka dni wcześniej w *King’s College* albo w Instytucie Hiszpańskim. Podszedłem do niego z tomikiem jego głośnych już wtedy poezji i poprosiłem o autograf.

Przeląkł się nieco zaskoczony faktem, że go rozpoznałem. Były to czasy, kiedy gen. Franco siedział jeszcze mocno w siodle, a wyjeżdżający za granicę Hiszpanie czuli się nadal śledzeni i zachowywali dyskretną ostrożność.

Padał deszcz i było zimno. Zaproponowałem mu, że go

odprowadzę do radia BBC, na co się chętnie zgodził. Zanim mi wpisał dedykację, pedantycznie poprawił dwa błędy drukarskie książki klarując przy tym właściwości gramatyki hiszpańskiej. Zauważył też, pamiętam, że niemiecki tłumacz źle przełożył tytuł „Hijos de la ira" jako „Söhne des Zorns" zamiast „Kinder". Słowo hiszpańskie „hijos" znaczy zarówno „synowie" jak „dzieci". Wniosek: nigdy nie zawadzi skontaktować się z autorem.

Alonso był nie tylko słynnym profesorem literatury i znakomitym jej historykiem, ale także respektowanym poetą. Na znanej fotografii grupy poetów tzw. Pokolenia 1927, w sali Ateneum w Sewilli, obok m.in. Garcia Lorki, Rafaela Albertiego i Jorge Guillena widnieje Dámaso Alonso, a współcześni zapewniali, że bardzo się Dámaso z Federikiem lubili.

Wybrałem z "Dzieci gniewu" do tłumaczenia dwa krótkie wiersze „Bezsenność" i „De profundis" oraz długi tekst, który wraz z artykulikiem o autorze wydrukowałem pod tytułem „Kobieta z bańką na oliwę" jeszcze w 1960 roku w „Tygodniku Powszechnym", a następnego roku „De profundis" w „Więzi".

Dámaso Alonso z racji piastowanego urzędu i zawodowej reputacji polecał dobrze zapowiadających się młodych naukowców i twórców hiszpańskich na zagraniczne pozycje pedagogiczne. Kiedy przeniosłem się z *London School of*

Economics do *Nottingham*, do naszej katedry hiszpańskiego przyjechał na paroletni staż jego rekomendowany lektor, Claudio Rodriguez z Zamory (1934-1999). Młody, przystojny poeta był już wtedy autorem cenionych wierszy, które kazały na niego zwrócić uwagę. Jeszcze w 1966 roku wydrukowałem przekłady dwu jego tekstów w „Więzi", a trzy dalsze w „Literaturze na Świecie" w 1975 roku, kiedy już byłem w Kanadzie. Rodriguez korzystając z pobytu w Nottingham, a potem w Cambridge poznał gruntownie i polubił poezję Dylana Thomasa. Wróciwszy do ojczyzny cieszył się wielkim uznaniem a jego poezje przyniosły mu bodaj wszystkie nagrody i wyróżnienia, jakie w jego ojczyźnie stały do dyspozycji, łącznie z fotelem Gerarda Diego w Królewskiej Akademii.

Znalazłszy się na uniwersytecie w Kanadzie spotkałem w zakładzie poetę i prozaika Jesusa Lópeza Pacheco (1930-1997), którego republikańskie przekonania i polityczne zaangażowanie wygnały na emigrację. Jego socrealistyczna proza znalazła uznanie w Moskwie, a wiersze również były na usługach anty frankistowskiego resentymentu.

Przełożyłem kilka jego zaangażowanych wierszy bacząc, by wybrać takie utwory, które miały mało klarownego adresata. Niemało się Jesús zdumiał, gdy wybrałem wiersz anty-generalski, a przełożywszy go, wydrukowałem w Polsce. Autor nie domyślił się, że tymczasem Polacy dorobili się również swojego

niedobrego generała i że ataki jego wiersza pasowały do niego jak ulał, świadcząc bezwiednie o wielostronnej użyteczności odpowiednio zastosowanej poezji

W Londynie łatwo nawiązywaliśmy kontakty z hiszpańskimi literatami, często wykładowcami uniwersyteckimi. Przyjeżdżali oni na zaproszenie iberystów brytyjskich i dawali wykłady, czytania lub brali udział w zjazdach naukowych. Oni z kolei mówili nam o tzw *tertulias*, regularnych spotkaniach grup profesjonalistów w miastach hiszpańskich. Nas interesował głównie Madryt. Tam w kawiarni „Gijón" zbierali się literaci, zaś w „Café Lyón", naprzeciw głównej poczty, a niedaleko Biblioteki Narodowej, profesorowie i bibliotekarze. Każdego roboczego dnia między 2 a 4 na *sjestę* spotykali się przy kawie, kieliszku wina czy koniaku na pogawędkę.

Mając takie zaproszenie w kieszeni młody uczony przyjeżdżał do stolicy Hiszpanii, zachodził do „Café Lyón" i przedstawiwszy się, był gorąco witany przez grono znakomitości, które okazywały się nie tylko wybornymi kompanami do wypitki i gawędy, ale pierwszorzędnymi znawcami przedmiotu, w moim wypadku, literatury hiszpańskiego Złotego Wieku. Potrafili w mig rozstrzygnąć wiele kwestii naukowych, informując nowo przybyłego precyzyjnie o najlepszych strategiach szukania i zdobywania potrzebnych wiadomości.

Przez wiele lat takim duchem sprawczym *tertulii* profesorów był don Antonio Moñino, były dyrektor Biblioteki Narodowej, wielki erudyta i bibliofil. Kiedy poszukiwałem rzadkiej książki szesnastowiecznego konceptysty, radził mi pojechać do Segowii. Tam kilkanaście lat wcześniej w bibliotece katedralnej na piętrze, w pewnym pokoju i drugiej szafie na takiej a takiej półce widział potrzebny mi egzemplarz książki. Były to czasy przed komputerowe, biblioteki rozporządzały niekompletnymi katalogami kartkowymi, a bibliotekarze byli kapryśni, w Hiszpanii mało zdyscyplinowani i potrzebowali bodźców. Pojechałem do Segowii i znalazłem książkę dokładnie tam, gdzie ją zapamiętał don Antonio. Kiedy indziej szukałem bez powodzenia żywota pewnego Świętego wydanego w 1613 roku. Kiedy o tym opowiedziałem gronu biesiadników, nazajutrz otrzymałem egzemplarz. Przyniósł go w kieszeni don Antonio, pozwolił zabrać do hotelu, przepisać potrzebne dane (nie było wtedy ksero) i zwrócić przy okazji.

W lecie, które w Madrycie jest uciążliwe, *tertulia* profesorów przenosi się nad morze do Santander. Daje to dodatkową okazję, by ożywić znajdujący się w tym mieście uniwersytet letni, do którego przyjeżdżają studenci z całego świata. Korzystają oni ponadto ze słynnej biblioteki założonej przez legendarnego erudytę Marcelina Menéndez y Pelayo. Po dziś dzień żyje jego mit i opowiadają, jak zwykł był on z książką w ręku zasiadać na otwartym piętrze tramwaju i jeździć nim w kółko nie

molestowany przez obsługę i współpasażerów.

W takiej atmosferze poznałem dyrektora szkoły studiów arabskich w Granadzie Emilio García Gómeza, z którego tłumaczenia średniowiecznych arabskich tekstów poetyckich z Andaluzji korzystałem, przekładając na polski kilkadziesiąt poezji arabsko-andaluzyjskich. Pisemne pozwolenie przysłał mi pocztą z Bagdadu, bo wtedy już sprawował funkcję hiszpańskiego ambasadora w Iraku.

Z jego nazwiskiem kojarzy mi się zabawna historia. Kiedy raz z poetą Józefem Łobodowskim poszliśmy w Madrycie na lampkę wina do tawerny znajdującej się w pobliżu jego miejsca zamieszkania, dyskutowaliśmy zażarcie o poezji arabsko-andaluzyjskiej. Wtedy podszedł do naszego stołu *limpiabotas* czyli pucybut, a uzyskawszy nasze przyzwolenie, zabrał się do glansowania naszych butów. Nie przerywaliśmy rozmowy i raz po raz w naszej polskiej konwersacji padało nazwisko Emilio García Gómez. Wtedy czyścibut spoglądał na nas ze szczególną uwagą, a my kontynuowaliśmy nasze wywody. Jeszcze kilka razy wymieniliśmy nazwisko Gómeza, a za każdym razem nasz czyścibut podnosił na nas wzrok. W końcu odezwał się niespodziewanie:

> Czego panowie chcecie od Emilia Garcii Gómeza? Ja się

> nazywam Emilio García Gómez.

Swoją drogą te podwójne hiszpańskie nazwiska są utrapieniem dla cudzoziemców, w tym również Polaków. Weźmy dla przykładu choćby często w ubiegłym wieku wymieniane nazwisko poety, który po hiszpańsku znany jest jako Federico García Lorca. A jak to nazwisko brzmi w dopełniaczu? Podobnie rzecz się ma z najpłodniejszym pisarzem hiszpańskim, którym był Lope de Vega Carpio. Nasi kuratorzy gramatyki nie spieszą się z werdyktem, jak takie nazwiska odmieniać po polsku pozostawiają nam decyzję, tak że musimy sobie radzić, jak umiemy.

Wśród bibelotów zachowałem także kilka wizytówek. Jedna jest hiszpańska z trzema różnymi nazwiskami osób, które tym niemniej stanowią jedną rodzinę. Tam już trzeba pewnych objaśnień. Po pierwsze wizytówka ma czarną obwódkę, jest więc wizytówką wdowy. Obok jej wydrukowanego imienia i nazwiska wykaligrafowano dwa dodatkowe nazwiska: syna i jego ojczyma. Kartonik stał się więc wizytówką rodzinną, którą mi wręczono podczas spotkania w Londynie.

Zanim podam nazwiska, opowiem całą historię. W sekretariacie Szkoły Nauk Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich, gdzie byłem zatrudniony pół wieku temu, pracowała Lolita Raczyńska. Pewnego dnia posłała mi karteczkę. Miała dla mnie studenta

Hiszpana, który chciał się uczyć prywatnie języka polskiego przy pomocy hiszpańskiego. Ponieważ znałem hiszpański, a uczyłem polskiego, odpowiadałem zapotrzebowaniu. Kiedy przeczytałem nazwisko kandydata: książę Adam Czartoryski, w pierwszym momencie pomyślałem, że padłem ofiarą żartu. Okazało się, że nie. Zjawił się dobrze ułożony szatyn wyglądający jak typowy sewillczyk zwący się po hiszpańsku Príncipe Adán Czartoryski. Zanim mogłem dawać mu lekcje, musiałem poznać rodziców: matkę i ojczyma. Wtedy dostałem wizytówkę z nazwiskami: Dolores de Borbón y Orleans, Carlos Chias Ossorio i P. Adán Czartoryski. Jego ojciec, Stanisław, już nie żył.

Były to czasy, kiedy gen. Franco miał się jeszcze dobrze, ale już przewidująco przysposabiał Juana Carlosa na przyszłego króla Hiszpanii. Pewnie, żeby uatrakcyjnić mojemu uczniowi niełatwy przedmiot, jakim był język polski, żartowałem, że jak jego kuzyn zostanie monarchą, to pewnie go wyśle do Warszawy jako ambasadora. I rzeczywiście kuzyn został królem.

Artykuł powiązany:

http://www.cultureave.com/wschod-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/

Jerzy Pietrkiewicz. Pigmalion i dumna Galatea.



Christine Brooke-Rose, fot. The Guardian.

Florian Śmieja

Na wsi francuskiej pod Avignon 21 marca 2012 roku zmarła Christine Brooke-Rose (urodzona w 1923 r.), była żona Jerzego Pietrkiewicza (1916-2007), jedna z najgłośniejszych brytyjskich postmodernistycznych powieściopisarek.

Do napisania niniejszego szkicu posłużyłem się, autobiograficzną książką „Remake" z 1996 roku, którą napisała na prośbę wydawcy, a także „Life,End of" z 2006 r. Dało jej to okazję do przeglądu zapamiętanych scen życia, choć nieco sceptycznie ostrzegła, że każda autobiografia jest po części fikcją i że po latach łatwo przypisać sobie wypowiedzi, by swój portret upiększyć. Natomiast w biografii Pietrkiewicza i informacjach o nim, są tylko bardzo zakamuflowane ślady kobiety, z którą żył przez ponad dwadzieścia lat w najowocniejszym okresie swojej twórczości.

Poznałem Christine bodaj w 1949 roku w Corku, kiedy Pietrkiewiczowie odwiedzili Irlandię, a ja kończyłem studia. Potem pojechałem do Londynu i byłem asystentem Pietrkiewicza w *School of Slavonic and East European Studies* przez cztery lata.

Aczkolwiek Christine urodziła się i wychowała w Szwajcarii, to część dzieciństwa spędziła z ojcem, Anglikiem. Wybuch wojny

także zastał ją na Wyspach Brytyjskich. Kiedy wspomina o czasie spędzonym w Liverpoolu, każe mi także myśleć o wojennych chwilach w tym mieście. Tam oglądałem hinduskiego tancerza Rama Gopala, którego ongiś do Polski sprowadził Aleksander Janta, zapamiętałem znakomity koncert filharmonii i zuchwały wyczyn, wizytę w bazie Wrenek, czyli elitarnej Pomocniczej Służby Kobiet Królewskiej Marynarki Wojennej. Do niej aspirowały wykształcone Angielki. Moja przyjaciółka Mary, stacjonowała w Liverpoolu i tam ją odwiedziłem w buzującym witalnością i dowcipem ośrodku urodziwych nastolatek.

Idylla się skończyła, gdy stchórzyłem, nie przyjmując wyzwania, by towarzyszyć Mary w dniu jej urodzin w styczniu, i przepłynąć zatokę morską, aż do widocznej na horyzoncie wyspy.

Gdy zacząłem pracować w Londynie, zaglądałem często do pobliskiego *British Museum*. Tam w czytelni widywałem Christine, świeżo upieczoną absolwentkę *Somerville College* w Oksfordzie. Studiowała po odbyciu służby wojskowej w Bletchley, jako deszyfratorka, dosłużywszy się w wieku 21 lat rangi kapitana. Przychodziła do czytelni od kilku lat i w niej poznała Jerzego Pietrkiewicza. Moje pierwsze z nim spotkanie było wcześniej, bo w 1946 roku, kiedy w mundurze starszego strzelca przyjechałem ze szkockiego obozu, by zwiedzić Muzeum Brytyjskie. Wtedy Pietrkiewicz zaprosił mnie na kawę i przeczytał mi przekłady poezji angielskiej przetłumaczone na

język polski do antologii, którą przygotowywał.

Christine po latach opisała swoje pierwsze spotkanie z Pietrkiewiczem o wiele barwniej. W czytelni zauważyła „najprzystojniejszego młodego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała, z aureolą czarnych włosów nad wpatrującymi się niebieskimi oczyma i delikatnie zadartym w górę nosem". Młody Beethoven, bo tak go nazwała, także używał biblioteki jako swojej kancelarii. Przychodził punktualnie o dziewiątej. Czytał książki po niemiecku, angielsku, i w różnych innych językach. A Oskara Wilde'a studiował po hiszpańsku.

Po kilku miesiącach zagadnęła go, a on się ucieszył, że mógł coś wytłumaczyć. „Mężczyźni zawsze mają satysfakcję, kiedy dziewczynę mogą czegoś nauczyć", zauważyła w autobiografii. Dowiedziała się, że miała do czynienia z polskim poetą pochodzącym ze wsi, który w Warszawie został obwołany polskim Rimbaudem. Pracował nad doktoratem. Studiował na szkockim uniwersytecie w St. Andrews.

Christine poczuła się dumna z takiej znajomości, a on opowiadał jej o poetach: Johnie Donnie, Dylanie Thomasie, Dawidzie Gascoyne, przekładał wiersze pełne aniołów, jezior, polskiego folkloru.

Zaprzyjaźnili się i wkrótce nawiązali romans. Pietrkiewicz miał

wtedy dwadzieścia dziewięć lat. Nazwała go we wspomnieniach Jankiem. Kiedy spotykali się na ulicy, szli ku sobie. On zatrzymywał się i otwierał ramiona, ona biegła do niego. Po latach zauważyła: „Nie Janek do niej. Bo taki już jest".

Christine wnet zmiarkowała, że znalazła się w nowej, poważniejszej sytuacji, poznała miłość, którą nazwała estetyczną, i lękała się, że mogła jej zaszkodzić oziębłość, obawa jakby oboje postawili siebie na piedestale?

Kiedy przyszła dla niej oferta pracy za granicą, skłonna była zapomnieć o studiach i jechać, ale on jej to wyperswadował. Matce komunikowała, że nie wie, czy wyjdzie za Polaka bo jej tego nie proponował. Oboje byli poprzednio w związkach małżeńskich.

Pietrkiewiczowie zamieszkali przy 9 Oakley Street. Pamiętam, że odwiedziłem ich w tym skromnym mieszkaniu na Chelsea. Christine źle wspominała mało wygodny lokal. Na podłodze w różnych miejscach leżały rekwizyty jakiejś gry wojennej, której zawzięcie się oddawali. Ale nie wszystko było grą. Łapczywie chłonęła wiadomości z literatury europejskiej, a do lektury przepisanej przez uniwersytet, Pietrkiewicz dorzucał teksty swojej predylekcji: Kafkę, Hofmannsthala, ale też Gombrowicza i Choromańskiego oraz Norwida, którego później razem przekładali na angielski i opublikowali.

Te obfite lektury owocowały u niej bujnie na solidnym gruncie podkładu tekstów skandynawskich i anglosaskich. Choć we wspomnieniach przyznaje, że życie z Jankiem było edukacją, domagała się również innej, lżejszej strawy, popularnej i modnej.

Nie wszystko jednak przebiegało harmonijnie. Zdarzały się kłótnie i sprzeczki. Partner zauważył na palcu Christine pierścionek zaręczynowy z brylantem oraz obrączkę z pierwszego małżeństwa. Dla świętego spokoju Christine rzuciła pierścionek dramatycznym gestem do Tamizy.

Kiedy wzięli ślub w urzędzie stanu cywilnego w 1948 roku, Christine przełożyła obrączkę na prawą rękę zgodnie z polskim zwyczajem ku satysfakcji męża. „Bo taki już jest", dodała po czasie kwitując zadziwiającą chłopską pazerność ukazującą się nagle spod patyny przykładnej dyplomacji. Wspomina też o jego przesądach i religijności.

W lipcu 1954 roku odbył się nasz ślub z Zofią Poniatowską w kościele na Clapham Common w Londynie. Na Mszy św. zebrała się gromadka gości. Oprócz rodziny panny młodej, Teść był znanym piłsudczykiem, pojawiła się marszałkowa Aleksandra Piłsudska, śpiewał bas Opery Covent Garden, Marian Nowakowski, bo przyjaźniliśmy się z jego żoną, pisarz Jan Bielatowicz, przemówił na przyjęciu, poeta Józef Bujnowski osobiście wydrukował zaproszenia na ślub, stawiła się popularna

felietonistka „Dziennika Polskiego” Krystyna Cywińska. Przyszli też Jerzy i Christine Pietrkiewiczowie.

Dziś, zapoznany z zawiłościami ich sytuacji psychicznej, zastanawiam się ,jak ci ostatni odbierali mój ślub i całą ceremonię? Czy był on jakąś prowokacją, czy rodziły się u nich wątpliwości, co do solidności i bezpieczeństwa własnego związku? Czy moja publiczna demonstracja kazała wspomnieć ich nie nagłośniony związek kryjący różne sprzeczności i pułapki. Czy nie stanowił zgrzytu? Był budujący czy niepokoił? A może zapalił jakąś iskierkę mającej się nie spełnić nadziei?

Pietrkiewicz przesadzał z ostrożnością, radził nie dzielić się informacjami, by nie zostały wykorzystane. Nie przyznawać się do porażek. Podejrzewał słowa, a może tylko angielskie słowa?

Rzadko mówił o miłości, napisał po polsku dla niej wiersz „The spelling of love”. Nazywał ją kotkiem, ale ona wyczuwała jakieś wykluczenie z sekretnej intymności. Religijność jego była dziwnie poetycka, nie wymieniała Boga, ale Anioły, Świętych, Matkę Boską. Natomiast niczego nie narzucał. Wyznawał taką religijność *a la Greene* i *Waugh*. Christine na wpół godziła się na chodzenie na Mszę z nim co niedzielę, choć uważała się za ateistkę.

Christine skończyła doktorat z angielskiego, a kiedy mąż zapadł

na ciężką chorobę w 1956 r., zaczęła pisać pierwszą powieść: ”The Languages of Love”. Przez następnych dziesięć lat współpracowała jako krytyk z najlepszymi czasopismami Londynu. Wydała też powieści „Sycamore Tree”, „The Dear Deceiver” oraz „Out”. Były to narracje satyryczno-obyczajowe.

We wspomnieniach przyznała, że istniał w ich związku milczący konflikt. Mąż będąc katolikiem żył w niezgodzie z wiarą przez te wszystkie lata. Zainicjowała więc w Rzymie przewód, by swoje poprzednie małżeństwo, zawarte w kościele anglikańskim, anulować. Przewód trwał kilkanaście lat i kosztował Christine wiele pieniędzy. „Jego wiara była prosta, głęboka i spokojna, nieobciążona sofistyką autorytetów duchownych”.



Christine Brooke-Rose (pierwsza z prawej) w mundurze WAAF, zanim poszła do Bletchley Park. fot. Harry Ransom Center, University of Texas at Austin.

Christine natomiast zawsze rzucała się w wir wydarzeń. Dziwiła się też, dlaczego mężczyźni robili tyle szumu z powodu seksu. Pamięta, że Pietrkiewicz codziennie potrzebował komplementów, choć sam nimi nie szafował. Łajał żonę, że mało czasu poświęcała toalecie. Raz w polskiej kawiarni w obecności byłej żony, Danuty, zarzucił Christine, że miała nieupudrowany nos.

Skarżyła się, że Polacy mają obsesję na tle polityki. Kiedy skrytykowali pierwsze angielskie powieści męża, radziła mu przerzucić się na inne tematy. Na przedstawieniu „Wesela”

Wyspiańskiego Christine wprowadzona już właściwie w tekst musiała wysłuchać głośnego tłumaczenia starego polskiego profesora ze wstydem i przy sarkaniu widowni. Pomyślała, że widocznie niektórzy Polacy doszli do wniosku, że Christine nie zasługiwała na swojego męża. Angielscy znajomi natomiast sądzili, że miała nieodpowiedniego partnera. Po latach zrozumiała jego męczarnie, kiedy musiał się adaptować w życiu zawodowym, pojmowała jego podejrzliwość i tolerowanie arogancji i okazywanie wyższości angielskiej, nic dziwnego, że był uprzedzony i nieraz używał słowa krytycznego „angielski" zamiast po prostu „ludzki".

Christine znała wiele prawd o komunizmie, których nie przyjmowali ludzie na Zachodzie. Niemniej ganiła niecierpliwość Polaków chcących natychmiastowych reakcji politycznych na komunistyczne prowokacje. Apelowała do rozsądku i cierpliwości.

Kiedy wyszła za mąż, obcięto jej stypendium, bo mąż miał odtąd być odpowiedzialny za utrzymanie żony. A on musiał zadowalać się mało płatnymi kursami i uciążliwym poprawianiem maturalnych egzaminów. Miał też długo paszport bezpaństwowca i kłopoty na granicy. Wyjeżdżając na wakacje także pisali, a wieczorami zabawiali się czytaniem napisanych rozdziałów.

Kiedyś Christine wybrała się sama do Salzburga, a kiedy po powrocie otrzymała fotografie ze zjazdu, naraziła się na podejrzenie i oskarżenie o niewierność. We wspomnieniach zapisała, że to był moment, kiedy po raz pierwszy straciła zaufanie. Mówiło się jeszcze o tym, że razem stanowili odporny czołg, ale mąż pozwalał sobie na flirty. Nie była zazdrosna. Na problemy z seksem polecił jej czytanie Kama Sutry.

Polepszenie warunków materialnych pozwoliło na kupno mieszkania w prestiżowej dzielnicy Hampstead. Pewnego Sylwestra poszli na proszone przyjęcie. Christine poczuła się źle i chciała iść do domu. Mąż flirtował i musiała wrócić sama. Następnego dnia wylądowała w szpitalu. Choroba kosztowała ją utratę nerki. Mimo to Christine stawiła się w Rzymie przed sądem św. Roty. Przyszło anulowanie małżeństwa z Rzymu. Brak dzieci ułatwiał sprawę.

Kupili samochód i nauczyli się prowadzić. Ale destrukcja małżeństwa trwała. Po swoich weekendowych eskapadach mąż pytał ją o kobiece bóle. Pomalutku niszczył jej samopoczucie i szacunek do siebie, strącając przy tej okazji i siebie z piedestału. W rezultacie nastąpiła czasowa separacja. W 1968 r. Christine wyjechała do Paryża na oferowaną posadę, „smutna lecz dumna ze swej niezależności”.

W autobiografii „In the Scales of Fate” z 1993 roku Pietrkiewicz

opowiedział o swoim życiu do 1953 roku uważając za cezurę ten rok wydania swej pierwszej powieści po angielsku. Nie wspomina pierwszego małżeństwa z Danutą Karel. Scenę poznania w czytelni *British Museum* opisuje podobnie. Christine wprowadziła go do angielskiej literatury dziecięcej „Alicji w krainie czarów" i „Misia Puchatka". Wspominając te lata po czasie i znając ich finał, autor próbuje ostrożnej refleksji. „Miłość ma zawodny i zmienny temperament, kiedy jest się młodym, może uważamy ją za zbyt pewną".

Ale odzywają się też inne nuty. „Popęd erotyczny zachowuje się inaczej, zwłaszcza w średnim wieku, pędzi w nieznajome, które trzeba było wcześniej zbadać". Po chorobie musiał przejść na dietę. Okazało się, że im bardziej ascetyczna była, tym mocniej fizycznie nalegała na potrzebę Erosa. „To była moja broń na przeżycie i odnowa wiary w życie". Szukając leku na sytuację wymienił potrzebę… pokory.

Przełom w pisarstwie Christine nastąpił już w 1962 roku w następstwie refleksji po ciężkiej i przewlekłej chorobie. Od tego czasu zaczęła eksperymentować z językiem i formami powieści. Na podparyskim uniwersytecie przyjęła posadę wykładowcy, a potem profesora angielskiej i amerykańskiej literatury i teorii literackiej. Na emeryturę przeszła w roku 1988 i osiadła w Prowansji.

Wakacje uniwersyteckie pozwoliły jej pisać. W powieści „Such”(1966) opisała doświadczenia astronoma po śmierci opowiedziane w terminologii astrofizyki. W 1984 r. wyszedł „Amalgamemnon” i trzy dalsze powieści traktujące o schyłku humanizmu, o napięciu między faktem, a wyobraźnią, o statusie kobiety wobec tradycyjnej hierarchii.

Swoimi powieściami i esejami krytycznymi zdobyła międzynarodowy rozgłos jako nowatorska pisarka postmodernistyczna. Pisała po angielsku, ale jej twórczość powiązana jest z francuskimi teoriami literackimi. Przełożyła na angielski głośną powieść Alaine’a Robbe-Grilleta „Dans le labyrinthe”. Wypracowała sobie własny styl eksperymentalnej prozy dowodząc, że w ostatecznym rozrachunku fikcja to sprawa języka i nie oddaje rzeczywistości. Stała się autorytetem. Niektórzy krytycy wymieniają ją dziś obok Wirginii Woolf i Gertrudy Stein. Jej proza stawia czytelnikowi wysokie wymagania i wprowadza gęstą aluzyjność.

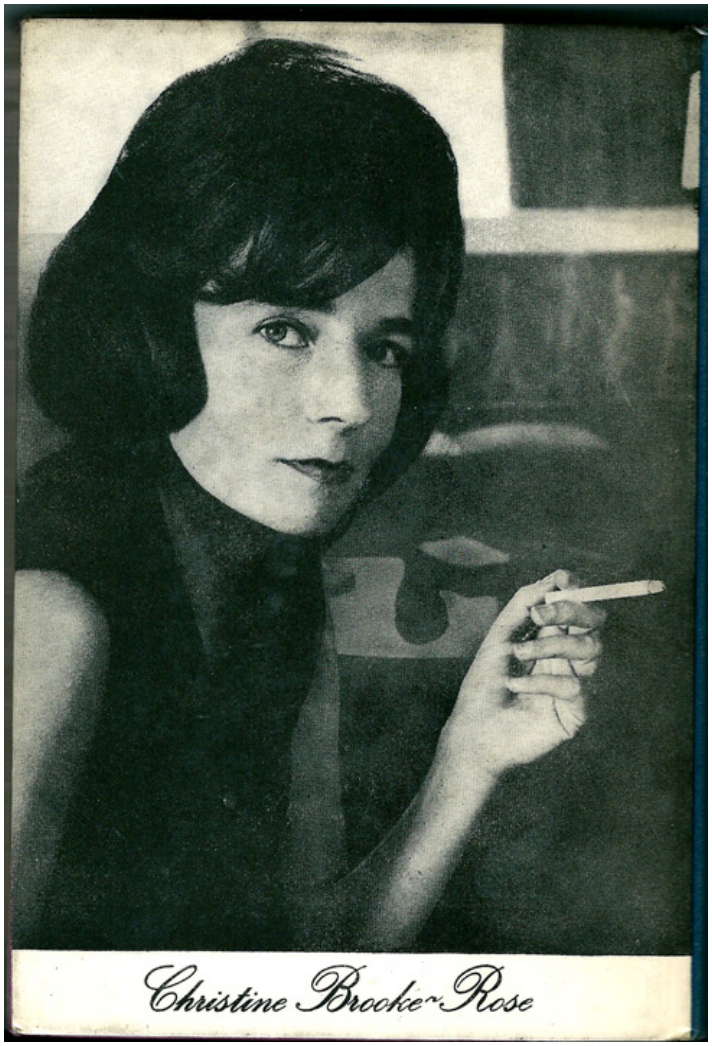
Christine Brooke-Rose



Christine Brooke-Rose

Pietrkiewiczowi odpowiadało kształcenie i kształtowanie Christine, a ona terminowanie też wysoko ceniła, ale kochała człowieka, a nie Pigmaliona, dzielenie się wiedzą było dla niej jedynie dodatkiem. Bo ona również formowała i dawała z siebie szczodrze latami całymi. Mnie trudno sobie wyobrazić osiem powieści Pietrkiewicza po angielsku bez Christine. Z jej odejściem przestały się już ukazywać. Ona pragnęła równości dwu szanujących siebie nawzajem partnerskich autonomii. A to okazało się niemożliwe.

Ich związek, który obojgu umożliwił wybitne osiągnięcia, nie

doczekawszy się potomstwa, zabiła w końcu nieszczęsna zazdrość, narcyzm i zaborczość.

Otrzymywane na starość telefony od Pietrkiewicza już nie potrafiły zatrzeć rozżalenia Christine, odbierała je bez entuzjazmu, nie czuła w nich żadnej zmiany, relacjonuje je z przekąsem, sarkazmem, może z jątrzącym bólem.

To Eks, poeta polski, angielski profesor i europejski emigrant, telefonuje od czasu do czasu. Dlaczego? Opuszczony 35 lat temu po 22 latach niezwykłego małżeństwa roztrwonionego dla czarnowłosej dziewczyny z mozaikowymi oczami. Wszystko to sprawa menopauzy około pięćdziesiątki ubrana w nierozpoznany przedramatyzowany romans: „Chcę być ubóstwiany”, zawołał kiedyś w ekstazie zanim wyczerpała się cierpliwości żony witającej go z kolejnego romantycznego wypadu. Może znalazł to, czego szukał, medytowała zdziwiona, że nawet w późnym wieku myślał tylko o sobie.

I taki nam jego obraz zostawiła.

Z perspektywy lat Christine wyróżniła jednak jedną wspólną cechę, którą dzielili mimo, że już żyli samotnie, osobno, z wieloma, aczkolwiek różnymi przyjaciółmi, w nieswoich krajach, pisali w obcych językach: – oboje byli do końca suwerenni.

_____

Jerzy Pietrkiewicz na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/nestor-poetow-emigracyjnych-jerzy-pietrkiewicz/
http://www.cultureave.com/arriba-silesia-wspomnienie-o--jerzym-pietrkiewiczu-1916-2007/